



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Tomasz Jan Szczepański

## Uwikłany w wojnę

Wcześniej jak w innych latach wróciliśmy z wakacji od Babci z Zamojszczyzny. Mama była Zaniepokojona wieściami o realnej możliwości wybuchu wojny. Tata nie dostał urlopu i pozostał w Lublinie.

Pamiętam dokładnie – była to niedziela, a niedziela w naszym domu była dniem opowiadań Ojca o przeżyciach wojennych. Tata w latach 1914-1921 był w wojsku.

Opowiadania przerwał pan sierżant, który w pełnym umundurowaniu z hełmem na głowie wręczył Ojcu grubą kopertę. – „Panie poruczniku to jest rozkaz dowódcy DOK II Lublin, gen. Mieczysława Smorawińskiego”. Ojciec nasz był cywilnym pracownikiem DOK II. W tej kopercie były dwie inne koperty. Jedną Ojciec schował do szuflady, a drugą odpieczętował. Czekaliśmy z zapartym oddechem, gdy skończył czytać powiedział: „Dzuduś (tak nazywał Mamę – miała na imię Janina), od dzisiaj jestem w czynnej służbie”. Mama płakała, ja cieszyłem się, że Tata będzie chodził w mundurze. Od poniedziałku Mama szukała krawca, który uszyje Ojcu mundur w 24 godziny. Znalazła. W trzecim dniu po otrzymaniu rozkazu Tata paradował już w nowiutkim mundurze, tylko że praca była już chyba inna i w różnych porach dnia i nocy.

Plakaty, odezwy i prasa już wyraźnie mówiły, że wojna wisi na włosku. Między innymi ogłoszony został apel Komendy Hufca, aby harcerze zgłaszali się do swoich szkolnych drużyn.

Chodziłem do Gimnazjum im. Stefana Batorego w Lublinie (Szkoła Lubelska). Na placu przed szkołą roilo się od kolegów. Dyrekcja otrzymała polecenie przygotowania szkoły na szpital. Wynosiliśmy ławki z naszymi monogramami nie wiedząc o tym, że już nigdy nie będziemy w nich zasiadać. Mówiło się tylko o wojnie i rychłym zwycięstwie, nastroje były bardzo optymistyczne.

Zapisałem się na kurs PCK i dostałem przydział na teren Dworca Głównego. Naszym zadaniem było pomaganie ludziom przyjeżdżającym do Lublina, szczególnie matkom z małymi dziećmi. Dumnie nosiliśmy mundury harcerskie z opaską PCK. W Lublinie jeszcze nic specjalnego się nie działo, z wyjątkiem wykupywania ze sklepów wszystkiego co się da. Jak woda szły cukier, mąka, sól i inne artykuły.

Ojciec, mimo że był człowiekiem bardzo nerwowym, zachowywał się dziwnie spokojnie. Mama natomiast często płakała. Bardzo lubiłem chodzić z Tatą po mieście. Imponowało mi salutowanie. W rozmowach z mną dawał mi do zrozumienia, że może będę musiał być opiekunem Mamy i siostry. Tata najbardziej martwił się stanem zdrowia swego ojca, który mieszkał w Świdniku k/Lublina. Dziadek od 1913 roku dzierżawił od Zakonu Szarytek majątek Świdnik. Na terenie tego majątku powstała słynna Szkoła Pilotów i duże lotnisko.

No i stało się. Dnia 1 września 1939 roku wybuchła wojna. Lublin był daleko od linii frontu, ale wiadomości dochodziły lotem ptaka. Wiedzieliśmy, że są już zabici i ranni, że polska armia, mimo wiel-

kiej przewagi niemieckiej, bije się dzielnie. Żyliśmy tym czego nas nauczono, że Niemcy mają czołgi z dykty, a żołnierze są biedni i głodni. Wierzyliśmy, że nasza kawaleria rozniesie ich w puch. Wierzyliśmy, że Francja i Anglia lada dzień ruszą na Niemców. Ogarnęła nas euforia, kiedy podano, że Francja i Anglia właśnie wypowiedziały im wojnę. Mimo to dochodziły do nas coraz smutniejsze wiadomości. Armie polskie cofają się. Była już bombardowana Warszawa i inne duże miasta. Było wielu zabitych i rannych.

W szybkim tempie przeszliśmy szkolenie w tropieniu „gołębiarzy”. Byli to młodzi ludzie z rodzin niemieckich, którzy w nocy latarkami sygnalizowali przelatującym samolotom niemieckim cele do bombardowania. Sygnalizatorzy ci siedzieli na dachach domów czy fabryk. Nad Lublinem często przelatywały samoloty na bardzo dużych pułapach, a w nocy słychać było ich warkoty.

Ojciec całe dnie i noce siedział w sztabie. Wpadał do domu na parę minut, zmieniał bieliznę, zjadał obiad czy śniadanie i wychodził. Nic nie opowiadał, mówił tylko, że jest gorzej niż przewidywano.

Nie pamiętam już dokładnie, czy było to 7 czy 8 września, kiedy przez Lublin przejeżdżała jakaś część rządu w kierunku na wschód. Prawdopodobnie wywiad niemiecki wiedział o tym i nad miasto nadleciały bombowce. Bombardowanie było silne. Ja z Mamą akurat szedłem do miasta i nalot „złapał” nas na ulicy Szopena. Schowaliśmy się do bramy kamienicy rodziców mego kolegi, Tomka Tomaszunasa. Było to dla nas straszne. Po raz pierwszy spotkaliśmy się z czymś takim. Mama zemdląła i w ogóle było duże zamieszanie. Byli zabici i ranni, okna bez szyb, niektóre domy bardzo ucierpiały. Wystawy sklepowe porozwalane, różne towary walały się po chodnikach. Nie zabrakło „czyścicieli”, towary znikwały natychmiast mimo niebezpieczeństwa. Po przyjsciu do domu okazało się, że jedna ściana działowa od wstrząsu zawałiła się do sąsiadów. Było dużo roboty, trzeba było prowizorycznie postawić ścianę i wynieść gruz.

Po południu wpadł Ojciec i postanowiono, że my z Mamą wieczorem na piechotę pójdziemy do Świdnika (7 kilometrów), a on rano przyjedzie do nas pożegnać się, bo z gen. Smorawińskim wyjeżdżają na wschód. Było dużo płaczu. Zapakowaliśmy lekkie plecaki i czekaliśmy wieczoru. Było już całkiem ciemno, kiedy przyszedł Tata i ruszyliśmy na rogatki w kierunku Świdnika. Widok był groźny, dogasały pożary, ale łuny były jeszcze duże. W naszym kierunku szło masę ludzi. Na granicy miasta Ojciec pożegnał nas i wrócił, a my ruszyliśmy w swoją stronę. Było jakoś smutno i straszno. Po pewnym czasie usłyszeliśmy warkoty samolotów i jakieś błyski. Mama była w jasnym prochowcu i o mało nie została przez to zlinczowana przez tłum, który zdarł z niej ten płaszcz. Jak twierdzili „znawcy” mógł go zobaczyć pilot i zbombardować naszą kolumnę. Skończyło się na tym, że Mama szła bez płaszcza.

Późną nocą przyszliśmy do Świdnika. Na podwórzu gospodarstwa stało mnóstwo wozów i bryczek. Przy wozach krowy, a na wozach ludzie. Dom mieszkalny nie był duży. Po wejściu zobaczyliśmy w każdym pokoju głowę przy głowie. Ciotki – siostry Ojca – powiadomione o naszym przybyciu, były bardzo zdziwione co się stało, że piechotą idziemy z Lublina. Ja byłem bardzo zmęczony. Znalazłem sobie wolne miejsce pod fortepianem, podłożyłem plecak pod głowę i zasnąłem jak suseł.

Około godziny 9-10 rano przyjechał Ojciec z innymi oficerami. Zameldował się Mamie już jako kapitan (przed wyjazdem otrzymał awans). Po śniadaniu i pożegnaniach we łzach (Dziadek już nie bardzo kontaktował, ale mimo to płakał) – odjechał. Był to dzień, kiedy ostatni raz go widziałem. Odtąd byliśmy – Mama bez męża, a my bez Ojca. Ale jeszcze tego nie rozumieliśmy do końca.

Część uciekinierów wyjechała, więc mogliśmy zająć dla siebie pokój. Przed odjazdem opowiadali straszne rzeczy, że Niemcy kastrują młodych Polaków, że wywożą nie wiadomo gdzie, że palą i niszczą itp.

Z czynnego radia – mimo braku elektryczności w Świdniku – wiedzieliśmy, że wojna jest nie do wygrania, mimo bezprzykładnej waleczności polskiego żołnierza. Niemcy zagrażali już Warszawie. Dokładnie nie pamiętam – 17 czy 18 września zajęli Lublin. Przeżyliśmy jeszcze jedno poważne bombardowanie lotniska w Świdniku, na którym stały nasze RWD. Po bombardowaniu pojechałem z kuzynami zobaczyć. Zniszczenia były ogromne. Stały kikuty samolotów, budynki były rozbite, różne dokumenty wiatr roznosił po lotnisku. Było to straszne przeżycie dla bardzo młodych ludzi.

Stan zdrowia Dziadka pogorszył się bardzo i prosił, aby przywieźć z Lublina doktora, który leczył go od bardzo dawna. Kto pojedzie do Lublina? Wypadło na mnie. Z wiernym furmanem Dziadka, Eleganckim powozem, pojechaliśmy. Na rogatkach zatrzymali nas Niemcy. Musiałem długo, znaną mi ze szkoły niemiecką tłumaczyć kto, gdzie i po co. Zrozumieli i dali mi przepustkę do miasta.

Doktor nie bardzo chciał jechać, ale w końcu siadł do powozu. Stan Dziadka był bardzo zły (84 lata). Zapadła decyzja – kto przywiózł ten odwozi. Pojechaliśmy. Na rogatkach znów wypytywanie, ale przepustka, którą miałem poskutkowałą. Tę co miałem zabrali i dali nową. Kazali się spieszyć, bo nadchodziła godzina policyjna. Nie miałem czasu nawet wejść do domu. W połowie drogi było już całkiem ciemno. Po lewej stronie drogi były dwa gospodarstwa. Nazywaliśmy je wiatrakami, bo były tam wiatraki. W pewnym momencie wokół naszego pojazdu znalazło się dużo ludzi, konie stanęły. Zobaczyłem, że byli to polscy żołnierze. Usiadł koło mnie oficer w stopniu kapitana, przedstawił się, że jest z grupy pułkownika Koca i powiedział, że wycofują się na wschód. Pierwsze pytanie – gdzie są Niemcy?

Odpowiedziałem, że w Lublinie, a w tych okolicach ich nie widziałem. Podziękowali i znikli. Opowiedziałem w domu co mnie spotkało. Na drugi dzień polami od strony lasu przyszedli oficerowie. Było ich kilku. Także ten, który w nocy rozmawiał ze mną. Było też kilku żołnierzy, a w stodole postawili wóz z końmi, a na wozie worki. Jak się potem okazało, były to pieniądze pułkowe. Część tych pieniędzy rozdali żołnierzom, trochę wzięli sobie, część oddali pracownikom majątku. Parę takich worków Bankowych dali ciotce do schowania. Ja dostałem Visa i trzy magazynki.

Wczesnym popołudniem zrobił się wielki szum i zameldowano, że od strony lasu idzie dużo jakiegoś wojska i palą się sterty ze zbożem. Strażacy z motopompą ruszyli na ratunek, ale nie dojechali, bo zostali ostrzelani przez niemiecki oddział. Natychmiast swego Visa wyniosłem do parku i zakopałem pod wielką lipą. Oficerowie rozpieczęli się. Zostało chyba dwóch. Oddział niemiecki wkroczył na teren majątku. Do dworu przyszedł oficer z obstawą. Przedstawił się i jak dziś pamiętam – nazywał się Messerschmit. Reszta wojska przeglądała budynki gospodarskie. Znaleźli dwóch naszych oficerów, którzy pozostali we dworze. Poddali się. Kilku uciekło do lasu świdnickiego. W czasie okupacji zgłosił się tylko jeden z tych oficerów. Zabrał część pozostawionych pieniędzy. Resztę prosił żeby schować – ktoś się zgłosi. Czy ktoś się zgłosił – nie wiem.

Dziadek słysząc strzały dopytywał się, co się stało. Myślał, że to my, wnukowie, strzelamy wokół domu. Gdy się dowiedział, zapłakał. W nocy obudził mnie ruch, bieganie. Okazało się, że Dziadek umarł. Byliśmy wszyscy bardzo przygnębieni. Mamy już nie było – pojechała do Lublina po siostrę. Późnym popołudniem pojechałem z kuzynem Michałem do leśniczego, pana Wolnego, po asygnatę na świerczynę potrzebną na dekorację i wieńce. Pana Wolnego znaleźliśmy od wczesnego dzieciństwa. Zostaliśmy zaproszeni na kolację. Później porozmawialiśmy jeszcze i było już całkiem ciemno, kiedy wyjechaliśmy do domu. Byliśmy konno, jechaliśmy stępą. Od strony lotniska zauważyliśmy światła samochodów. Było ich siedem. Byliśmy pewni, że to Niemcy wracają z lotniska, ale kiedy zobaczyliśmy, że samochody skręcają do majątku obleciał nas strach. Obowiązywała godzina policyjna. Rozdzieliliśmy się. Kuzyn pojechał inną drogą, ja inną. Kiedy wjechałem na podwórze, otoczyło mnie kilku żołnierzy. Nie byli to ani Polacy ani Niemcy, tylko żołnierze sowieccy. Padły rozkazy po rosyjsku: „Ręce do góry, naprzód”. Postawili mnie pod wielką stodołą, twarzą do ściany. Przez ramię widziałem żołnierza celującego we mnie. Kiedy zapytałem co chce robić, powiedział: „Małczaj pamieszczyk. My ciebia rasstrelajem” i śmiał się głośno. Potem powiedział, że Sowietci wyczują mnie na szoferę i kazał iść przodem. W Świdniku było dużo psów i były duże ładne psiarne. Wsadzili mnie do jednej z nich. Tam spotkałem kuzyna Michała. Przez kilka ładnych minut na rozkaz żołnierza musieliśmy szczeakać, a on uderzał w ścianę karabinem. Znudziło mu się i wypuścił nas. Pobiegliśmy do domu. A tam – Sodoma i Gomora. Wszyscy domownicy i uciekinierzy stłoczeni w pokoju, w którym na katafalku leżał Dziadek. Ciotki umiały świetnie mówić po rosyjsku i z oficerem prowadziły pertraktacje, a żołnierze rabowali wszystko, co się dało. Inna grupa rznąła świnię i cielaki. Ciemno, błyski latarek, krzyki, nawoływania, kwik świń, beczenie cieląt – istny „koniec świata”. Takiej nocy już nigdy w swoim życiu nie miałem.

Rano z rządcą, panem Janowskim, poszliśmy do stajni, aby polecić pracownikom przygotowanie koni, bo trzeba wywieźć ciało do Lublina – tam była parafia i cmentarz. Jak dziś pamiętam – pracownik o nazwisku Latała stanął na środku stajni i powiedział: „Teraz nasza gwiazda zaświeciła i żadnych koni nie będzie, zabrali towarzysze”. Faktycznie stało tylko kilka koni. Pan Janowski poszedł na wieś Świdnik i za godzinę przyjechało kilka wozów przygotowanych do wożenia ludzi. Na jeden postawiliśmy trumnę i wsiadło kilku członków rodziny, na inne reszta. Na rogatkach zatrzymali nas Niemcy. Jedna z uciekinierki z okolic Grudziądza płynną niemiecką wytłumaczyła oficerowi, kto my jesteśmy i w ogóle wszystko. Pozwolili nam jechać do kościoła. Po uroczystościach pozostałem w domu.

Za kilka dni dowiedziałem się, że sowiecki oddział, który nas obrabował samowolnie przekroczył linię demarkacyjną na rzece Wieprz i że Niemcy odebrali im część rzeczy, zagrabionych nie tylko ze Świdnika. Wróciło dużo krów i koni, które w czasie pędzenia rozeszły się po polach. Tak rozpoczął się dla mnie i mojej najbliższej rodziny tragiczny czasem, smutny i beznadziejny, bardzo długi okres okupacji hitlerowskiej.

Najważniejszą dla nas była sprawa Ojca. Gdzie jest, czy żyje, jeśli poległ to gdzie. Wszystkie panie pisały do Czerwonego Krzyża. Mama też. O dziwo, nawet szybko przyszła wiadomość, że takiego oficera nie ma na wykazie internowanych. Ale też, o dziwo, podali adresy obozów internowania na terenie ZSRR: Kozielsk i Starobielsk. Pisaliśmy prawie codziennie na podane adresy.

Nie pamiętam dokładnie daty, ale było to chyba jeszcze w zimie 1940 roku. Dostała Mama awizo z poczty, że jest telegram. Poszliśmy wszyscy, zachodząc w głowę – od kogo. Tekst pisany był po niemiecku: „Jestem zdrow, dwie karty otrzymałem, piszcie często i telegrafujcie. Wasz ojciec i mąż – Roman”. Adres: Starobielsk, Woroszyłowska Oblast'. A więc Ojciec żyje. Jak mu tam jest? Był przecież bardzo chory na wątrobę. Ale najważniejsze, że żyje.

Pisaliśmy do Starobielska codziennie. W kilkanaście dni po tej depeszy przyszedł do nas pan – nazwiska nie pamiętam (ale było ono typowo niemieckie). Był on kierowcą pana Rulikowskiego w majątku Melgiew koło Lublina. Przyniósł nam wiadomość, że widział Tatę w Starobielsku, że Tata został wzięty

do niewoli w okolicach Kamienia Koszyrskiego. Opowiedział jak tam jest dodając, że Ojciec czuje się względnie dobrze i że generała Smorawińskiego tam nie ma.

Wczesną wiosną dostaliśmy ze Starobielska list, ale też bardzo lakoniczny. Ojciec pisał, że jest zdrow, tęskni i czeka, kiedy się zobaczymy. Po tym liście nastąpiła cisza i wielka niewiadoma. Dzień po dniu czekaliśmy na wiadomość – niestety nie było. Mama „ściskała” pieniądze, które otrzymała od Ojca. To była trzymiesięczna odprawa. Po śmierci Dziadka Zakon Szarytek wyraził zgodę, aby najstarszy syn, stryj Czesław, przejął obowiązki dzierżawcy. Wiem, że było jakieś zebranie rodzinne i dokonano jakichś rozliczeń. Mama dostała trochę pieniędzy.

Prawdę mówią mądrzy ludzie, że człowiek młody w ekstremalnych warunkach dorósł. Ja też wydorostałem i po ochłonięciu po tych wszystkich wydarzeniach ostatnich tygodni pomyślałem o dalszej nauce. Wiedzieliśmy, że naszej szkoły nie otworzą. Z moim najlepszym przyjacielem, Stachem Szatkowskim i innymi kolegami zastanawialiśmy się co dalej. Jeszcze Niemcy nie pokazywali co potrafią, na razie rządził Wehrmacht. Nie wiedzieliśmy co to Gestapo, Szupo czy inne aparaty ucisku III Rzeszy. To miało dopiero nastąpić. Ustaliliśmy, że w okresie zimowym zorganizujemy jakieś tajne nauczanie. Profesorowie byli chętni.

Mama bardzo się martwiła o Babcię, to znaczy o swoją mamę, u której byliśmy na wakacjach. Rada w radę postanowiono więc, że ja pojedę do Kazimierówki. Powiadomiliśmy listownie, kiedy i jakim pociągiem przyjadę na stację PKP Koniuchy. Brat Mamy, który prowadził gospodarstwo, służył w Wołyńskiej Brygadzie Kawalerii. Nie wiedzieliśmy, czy wrócił z wojny. Pojechałem. Im byłem bliżej celu, tym bardziej się martwiłem, czy ktoś będzie na mnie czekał. Wreszcie Koniuchy. Wysiadłem, serce mi biło mocno. Widzę z daleka jakieś konie i bryczkę, ale nie mogę dostrzec ludzi. Wtem łapie mnie ktoś z tyłu. Zadrzałem i słyszę głos wuja Henryka – „Kiniu!” (bo tak mnie nazywał jak byłem mały). Popłakaliśmy się jak małe dzieci.

Przez drogę dowiedziałem się o wojnie więcej niż gdybym przeczytał kilka książek. 2 Pułk Strzelców Konnych z Hrubieszowa jako jeden z pierwszych stawiał opór. Potem był tylko odwrót i bitwy, a potem – już pod Tomaszowem Lubelskim – rozformowanie i każdy na własną rękę do domu. Koło Tyszowiec wuj został pobity przez Żydów i Ukraińców tak mocno, że był cały opuchnięty. Buty trzeba było rozciąć.

Na szczęście Babcia i ciotka były zdrowe i jakoś wspólnie gospodarowały. Kazimierówka były to resztki niegdyś dużego majątku. Po parcelacji pozostawili Dziadkowi dom z obejściem oraz kilkanaście hektarów. Dziadek, a po jego śmierci Babcia, ciotka i wuj Henryk hodowali konie dla wojska. Było tych koni zawsze 20-25. Teraz pozostały prawie puste stajnie, stodoła i inne budynki gospodarcze. Były 3 konie, kilka krów i parę świń.

Mój przyjazd spowodował wiele radości. Na niedzielę zjechała najbliższa i dalsza rodzina. Opowiadaniom nie było końca. Babcia bardzo martwiła się losem mego Ojca, którego bardzo lubiła. Po kilku dniach zaopatrzone w różne wiejskie produkty wyjechałem do domu. Babcia poleciła mi przyjazd latem. W domu zastałem wszystko w porządku, nie było żadnych rewelacji. Koledzy też nie mieli nic do zakomunikowania. Były pewne zmiany, widać było chodzących po mieście dziwnych osobników jednakowo ubranych tj. w czarnych skórzanych płaszczach, w kapeluszach nasuniętych na oczy. Mielśmy anonimowe sygnały, aby unikać spotkań z nimi. Byli to, jak się potem okazało, gestapowcy szukający kontaktów i rozpracowujący teren. Z ich działalnością mieliśmy do czynienia przez całą okupację.

W gronie przyjaciół szkolnych i nie tylko, zaczęły uwidaczniać się jakieś ruchy, które nie wprost, ale niedomówieniami ukierunkowane były na tworzenie czegoś w rodzaju ruchu oporu – bardzo zakomspirowanego, opartego na trójkach. Były to jeszcze bardzo mgliste marzenia, tym niemniej chwyciły.

Całą zimę wykorzystywaliśmy na przerobienie 4 klasy, przygotowując się do egzaminu małej matury. Wykłady odbywały się od rana do późnego popołudnia. Każdy w innym mieszkaniu. Wybieraliśmy domy położone dalej od centrum miasta. Słuchacze byli bardziej pilni niż w normalnej szkole. Na wiosnę były egzaminy wstępne. Oceny były różne, zdarzały się nawet poprawki. Sytuacja nie dawała ulg – i to dobrze. Wykłady przyniosły jeszcze inne pożądane skutki – zacieśniły się przyjaźnie, rozlały się łańki walki z okupantem.

Stosunki naszej Mamy z resztą rodziny Ojca nie układały się dobrze. Co było powodem nie wiem, mało mnie to obchodziło. Ja bywałem w Świdniku i czułem się tam jak u siebie w domu. Miałem po Ojcu równe prawa.

Moje wspomnienia nie byłyby pełne, gdybym nie napisał, że Dziadek Tomasz kupił w 1922 roku majątek Struża na trasie Piaski Luterskie – Chełm. Nie było to duże gospodarstwo, ale dobre i ładne. Szczególnie dom mieszkalny. Gospodarował tam brat Ojca, Mieczysław. Z żoną stryja moja Mama nie utrzymywała prawie wcale stosunków rodzinnych. Jak to mówią – „dzień dobry i do widzenia”. Ja natomiast tak jak w Świdniku tak i w Struży czułem się jak w domu.

Następną tragedię przeżyliśmy, kiedy dowiedzieliśmy się o mordzie w Katyniu i że był tam generał Smorawiński. Jak to się stało, że Ojciec, który wyjechał z generałem znalazł się w Starobielsku? Mama

była u generałowej, ale niczego konkretnego się nie dowiedziała. Niemieckie „gadzinówki” donosiły raczej prawdę o tym mordzie. Społeczeństwo, myślę o Lublinie, było podzielone. Jedni byli pewni, że zrobili to Niemcy a drudzy, że Rosjanie. My nie mieliśmy cienia wątpliwości, że zrobili to Sowieci. Zadawaliśmy sobie pytanie: co z oficerami ze Starobielska, czy spotkał ich taki sam los? Mama chodziła jak błędna.

Zapadła decyzja, że powinniśmy zamieszkać w Struży. Tak postanowił senior rodu, stryj Czesław.

Po pewnym czasie przyszła wiadomość, że wuj Henryk z Kazimierówki miał jakiś wypadek i leży ciężko chory. Babcia wzywa Mamę. Mama natychmiast pojechała. Po powrocie niewiele mówiła. Miałem szykować się do wyjazdu, bo wuj bardzo prosi abym przyjechał. Pojechałem. Wuj był już prawie zdrowy. W rozmowie z Babcią i ciotką wyczułem, że był to jakiś zawód miłosny i próba targnięcia na życie. Nie dopytywałem się.

Którejś niedzieli mieliśmy wybrać się do przyjaciela wuja do Frajkamionki. Rano po śniadaniu nastąpił wyjazd. Na tamtym terenie nikt jeszcze nie widział Niemców, chyba w Zamościu czy Tyszowcach. Dochodziły jednak słuchy o aresztowaniach ludzi z pewnych grup społecznych, raczej z inteligencji.

W domu państwa Weichertów było już trochę gości, ale więcej panów. Po powitaniach panowie znikli. Ja z paniami rozmawiałem o Lublinie i sytuacji politycznej. Wyczuwałem, że jest to zebranie jakiejś grupy polityczno-wojskowej. Ton całemu towarzystwu nadawał jeden super facet. Po powrocie panów, przyszykowano stół do obiadu. Robiłem wymówki wujowi, że mnie zostawił. Poszliśmy do ogrodu i tam wuj zaproponował mi wstąpienie do Tajnej Organizacji Bojowej. Jeśli się zgodzę, to porucznik Rust odbierze przysięgę. Naturalnie wyraziłem zgodę. Po obiedzie wszyscy wyszli do ogrodu a ja, wuj i pan Weichert zostaliśmy. Na bocznym stoliku stał krzyż, zapalono świecę i złożyłem przysięgę. „Od tej chwili jesteście żołnierzem Armii Podziemnej” – zakończył uroczyste porucznik Rust. Z Rustem było potem dużo kłopotów. W rezultacie wyrokiem Armii Krajowej został wraz z żoną rozstrzelany.

Po tych głębokich przeżyciach wróciłem do domu. W jakiś czas potem wybrałem się do Lublina. Tęskniłem do przyjaciół. Na spotkaniu w kawiarence Cafe Adat jeden z naszej paczki zaproponował mi wstąpienie do organizacji. Nie wiedziałem, czy mogę powiedzieć, że już jestem. Na drugi dzień na spotkaniu przyszedł nieznamy mi pan, chyba jakiś oficer i ponowił propozycję. Nie mogłem już dalej ukrywać i powiedziałem. Ucałował mnie serdecznie i powiedział, że będę otrzymywał różne polecenia.

Coraz częściej dochodziły do nas wiadomości, że los oficerów ze Starobielska był taki sam jak tych z Kozielska. A więc jestem pólsierotą. Nocami płakałem. Przecież Ojciec był takim dobrym człowiekiem, może zbyt łatwowiernym, każdemu ufał!

Okupacja pokazała możliwości „panów” spod znaku swastyki. Zapełniało się więzienie na Zamku Lubelskim. Coraz więcej ludzi trafiało pod Zegar (to odpowiednik warszawskiej ulicy Szucha). Rósł w oczach przyszły, sławny na cały świat Majdanek. Widać było maszerujące widma wygłodniałych Żydów śpiewających, że „Hitlerek złoty nauczył ich roboty”. Ciarki przechodziły człowiekowi na taki widok, wzrastał jakiś potężny opór, chęć walki. Ale byliśmy bezsilni. Co mógł zrobić jeden czy dwa oddziały nawet najlepiej uzbrojonych przeciw takiej sile.

Wielka nadzieja pojawiła się w sercach ludzi z chwilą wybuchu wojny niemiecko – sowieckiej. Na krótko. My w Lublinie już na drugi dzień widzieliśmy jeńców sowieckich, trzymany na polu z kapustą, z której nie zostały nawet korzenie. Wiadomości z frontu były szokujące. Niemcy błyskawicznie szli naprzód. Nasze marzenia o szybkim rozprawieniu się z wrogiem trzeba było odłożyć.

Dostałem od organizacji polecenie śledzenia transportów wojskowych – kolejowych i drogowych. Torami biegnącymi przez nasze pola pociągi szły jeden za drugim. Miałem za zadanie ustalić: jakie transporty, czego, jakie znaki na czołgach czy samochodach itp. Łatwo mi było to robić. Siadałem na bryczkę, jechałem w pole i liczyłem. A kuzynkom dla zabawy kazałem liczyć samochody jadące szosą. A było tych dziesięć chyba 6-7. Była między innymi córka generała Boruty Spiechowicza, Irena (Mieszka w Szczecinie). Wszyscy mieliśmy dokumenty stwierdzające, że jesteśmy robotnikami na plantacjach tytoniu i koksagisu (produkowano z niego kauczuk). Jak był sygnał, że jadą Niemcy, całe towarzystwo gnało na pole.

Pewnego dnia musiałem być w Lublinie. Trafiłem akurat na wielką łapankę. Łapali wszystkich. Wiedziałem nawet ludzi z mydłem na twarzy, zabranych w czasie golema. Koło Krakowskiej Bramy trafili i mnie. Przypędzili masę ludzi na dziedziniec zamku, wystawili 4 stoły, uformowali 4 kolumny. Podchodziliśmy pojedynczo z dokumentami. Mnie wypadł stolik, gdzie siedziała kobieta w mundurze SS. Była nawet dość przystojna. Słyszałem dookoła krzyki, płacze i tylko dwie litery wypowiedane przez SS-manów: E i A. E to entlasen – wolny, A – arest. Przede mną stał jakiś pijany facet. Oparł się łokciami o stół pani SS-manki. Ta uderzyła go w twarz i zrobiło się zamieszanie. Błyskawicznie przeskoczyłem do grupy E i tym sposobem uniknąłem Majdanek czy zamku. To naprawdę było niecodzienne szczęście.

Mama z moją siostrą, Barbarą, przeniosła się do Lublina a potem wynajęła mieszkanie w Nałęczowie. Zostałem sam, wykonując coraz to poważniejsze zadania. Musiałem wyjechać do Świdnika i tam czynić pewne obserwacje w okolicach lotniska. Było mi łatwiej, bo prowadziłem te obserwacje

z konia, jeżdżąc po polach, do czego miałem prawo (w razie czego – „kontrola prac polowych”). Obserwacje były ciekawe i chyba ważne. Zawiadomili mnie, że Niemcy planują wysiedlenie kilku kamienic przy ul. Narutowicza – przy tej ulicy było nasze mieszkanie. Faktycznie musieliśmy w kilka godzin przenieść graty na ul. Rybną za Krakowską Bramę (dawna dzielnica żydowska). Straszna, ponura ulica a jeszcze gorsze mieszkanie – nora. Na dodatek zachorowałem na zapalenie stawów, nie mogłem się ruszać. Natomiast pluskwy ruszały się po mnie zupełnie dobrze. Mama mnie pielęgnowała, przyszedł szwagier, Włodek, dostarczał chemikaliów do walki z pluskwami. A stary poczciwy lekarz Dostarczał medykamentów, abym mógł się ruszać i wyjechać do Struży. Nastąpiło to dopiero po trzech tygodniach. Mieszkanie za Krakowską Bramą było makabrą, cały dzień i w nocy kursowały samochody na Zamek i z Zamku, słychać było strzały i krzyki. Koledzy odwiedzający mnie przynosili różne ciekawe wiadomości. W lasach lubelskich było sporo oddziałów partyzanckich: Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i Gwardii Ludowej.

Sytuacja na frontach zaczęła się klarować. Niemiecka „Błyskawiczna Wojna” była już tylko wojną – bez błyskawicznej, a nawet były już odwroty. Koledzy chodzili na dworce PKP i obserwowali pociągi transportujące rannych. Był to podobno okropny widok, a jednak dla Polaków radosny.

Dochodziły słuchy, że Zamojszczyzna ma być wysiedlona dla kolonistów pochodzenia niemieckiego, a Zamość ma się nazywać Himlerstad. Byłaby to tragedia dla Babci. Wuj Henryk napisał do mnie, abym przyjechał do Kazimierówki, bo są ważne sprawy. Wtedy trzeba było już mieć przepustki na kolej. Koledzy dostarczyli mi taką oryginalną przepustkę, ponadto miałem dokument, że jadę na kontrole plantacji tytoniu i koksagisu.

W umówionym dniu zameldowałem się na stacji Koniuchy. Wuj czekał. Po drodze zakomunikował mi, że z związku z koncentracją wszystkich żołnierzy AK muszą się stawić w oddziale por. Ryszarda. Znałem dobrze Ryszarda od dziecka (to znaczy ja byłem dzieckiem, a on już był w Korpusie Kadetów). Oddział nie przebywał stale w lesie, każdy mieszkał u siebie, ale na wezwanie meldował się w miejscu koncentracji. Były takie dwie. Jedną zakończyła się potyczką z przesiedlonymi tutaj Niemcami – tak zwanymi „czarnymi”. Dostali łupnia, że aż się kurzyło. Pochowali się do pobudowanych bunkrów i krzyczeli „hilfe!”. Druga to już poważniejsza z wojskiem niemieckim i „czarnymi”. Byli ranni. Musieliśmy się wycofać. Ale najważniejsze było uświadomienie przesiedleńcom, że nie mogą się tu stać panami. A ponadto Niemcy musieli wycofywać z frontu żołnierzy dla ochrony „czarnych”.

Po tym „chrzcie” wróciłem do domu. Najmłodszy brat mego Ojca, Jan, był aresztowany i wysłany do Oświęcimia. Łączniczki, młode dziewczyny, zbierały datki na organizację. Stryj dał pewną sumę, panienki zapisały imieniem i nazwiskiem. Zostały złapane na moście Poniatowskiego i wielu ludzi poszło do obozów. Stryj na szczęście przez Buchenwald wrócił do Kraju.

Coraz gorsze wiadomości dochodziły z GG, a szczególnie z Warszawy, natomiast coraz lepsze z frontów. Niemcy dostawali lanie jak się patrzy i to podtrzymywało Polaków moralnie. Niestety były i przykre wypadki i to nie odosobnione, było wielu pseudo-Polaków, którzy za judaszowskie srebrniki sprzedawali bliźnich. Tak było z por. Rustem, SS-manem. Unikaliśmy go jak ognia. Podobno kilku kolegów przez niego cierpiało. Moja koleżanka, w której się podkochiwałem, Ada S., była działaczką UPA. Spotkałem ją w Lublinie, zaprosiła mnie do domu. Na czołowym miejscu wisiał portret Bandery i tryzub. Poczęstowała mnie dobrą, prawdziwą kawą i francuskim koniakiem. Na pożegnanie był judaszy pocałunek. W Zamościu uciekałem przed znajomą, żoną oficera z 12 p. ułanów, która nie wytrzymała rozłąki z mężem i została kochanką wysokiego działacza SS. Powiedział mi o tym mój kolega z dzieciństwa, syn miejscowego dentysty Marek Komarowski.

Ile i ilu było takich – nie wiadomo, ale było dużo. Świadczą o tym liczne wyspy. Sam taką przeżyłem. Brat rodzony mojej Mamy miał koło Nałęczowa mająteczek Rąblów. Ten Rąblów, pod którym Moczarski stoczył słynną bitwę z Niemcami. Ciotka mieszkała w Nałęczowie, a wuj oddał dwór na Szkołę Podchorążych. Pewnego dnia przyszło czterech dosłownie oberwańców, podających się za uciekinierów z obozu. Mówili tylko po rosyjsku (później okazało się, że byli to własowcy). Wuj ich nakarmił, napoił, dał kwaterę do czasu przesłania do lasu. Rano już ich nie było, ale Rąblów otoczony był przez SS. Złapali wujka i wywieźli prosto na Zamek. Nie pomogły pieniądze i inne zabiegi – zginął bez wieści.

Nie często, ale na dłużej odwiedzałem Mamę w Nałęczowie, spotykałem wielu kolegów, którzy wciągnęli mnie w tamtejsze towarzystwo. Były tam bardzo ładne dziewczyny, np. dwie córki miejscowego lekarza dr. Polaczka, przebywali prawie stale bracia Borkowscy (jeden był w wywiadzie). Były dwie siostry (nazwisko zapomniałem), u których grywało się wieczorem w brydża. Narzeczonym jednej był p. Jan Truszkowski, który uciekł ze swego majątku. Zabrał tylko dwa konie i powóz i był doręcznikiem na trasie Nałęczów – Lublin. W drugiej z siostr, Krystynie, kochał się Krzysztof Żylski, ale prawie nigdy nie przebywał w naszym towarzystwie. Jurek Krauze, syn właściciela dużej piekarni, ostrzegł nas przed nim. Pewnego dnia przyszedł na brydża nie zapowiadany Przemek B. (znałem go od dzieciństwa). W czasie gry szepnął mi do ucha: „uciekaj do domu, będzie gorąco”. Pod pretekstem, że Mama źle się czuje wyszedłem. Poszedł ze mną Jurek Krauze, któremu powiedziałem co i jak. Zamiast do domu poszedłem do niego. Była to duża piekarnia więc było się gdzie schować. Za dużym piecem był

pokoik, gdzie przy kawie przesiedzieliśmy całą noc. Rano okazało się, że Krzysz Żylski był konfidentem Gestapo w Puławach. Zwerbował Krystynę, która była tylko narzędziem w jego rękach, a że bezprzeczenie kochała Krzysia, robiła to co on chciał. Na oboju zapadł wyrok – rozstrzelać – i właśnie taki rozkaz przywiózł Przemek B. Miał go wykonać Barabasz, nasz starszy kolega, z plutonem egzekucyjnym. Pod jakimś pretekstem Krysia została wywabiona z domu, a kiedy znalazła się w wąwozach wyczytano jej wyrok. Krystyna była potężnej budowy, wyrwała się i zaczęła uciekać. Poszła natychmiastowa pogoń. W czasie pogoni została ranna zakonnica, idąca do uzdrowiska i kulawy szewc, który wyszedł z domu. Krystyna została złapana i rozstrzelana.

Wyjechałem do domu. Obcy, nie meldowany, byłem narażony na złapanie. Odwoził mnie do Lublina Janek T. O niczym się nie rozmawiało, tylko o sprawie Krystyny. To był naprawdę szok dla jej matki i siostry. Podobno były niezbite dowody i fotografie z balów gestapowskich w Puławach z udziałem Krzysztofa i Krysi. Jak się potem dowiedziałem Krzysztof Żylski zgłosił się do oddziału AK twierdząc, że chce odkupić swoje winy i walczyć. Zatrzymali go i zameldowali do „góry”. Przyszedł Rozkaz – rozstrzelać. Wyrok został wykonany przez tego samego Barabasza. Tak zakończyła się „przygoda” młodych, zdolnych ludzi, którzy wybrali współpracę z okupantem.

Z Nałęczowem wiąże się moja osobista przygoda. Przy drodze ze stacji kolejowej do miasta była duża restauracja. Prowadziła ją przystojna, w średnim wieku pani Gogaczowa, która bardzo lubiła młodych chłopców. Była powiązana z ruchem ukraińskim i miejscowymi gestapowcami. Dostałem polecenie zajęcia się tą panią, a ponieważ byłem obcy miałem większą szansę. Wpadałem do pani Gogaczowej na filiżankę kawy spod lady i na pogawędkę. Pewnego dnia zaprosiła mnie na imieniny. Umówiłem się z kolegami z AK, że jeśli na przyjęciu będą sami Ukraińcy, to z umówionego okna pozdejmuję kwiaty. Pani G. prosiła abym przyszedł wcześniej i pomagał. Przyszli sami Ukraińcy. Najgroźniejszy gestapowiec Stanek wpadł tylko na chwilę, wypił kielicha i pojechał do Puław. Były toasty za Bandere, Bulbę, za UPA, za Hitlera i innych. Siedziałem jak głupi, nie wiedziałem po co kazali mi tu przyjść. Pani Gogaczowa była miła i rozkoszna. Goście pili dużo dobrej wódki, ja maczałem usta.

Około godziny 1-szej w nocy silne pukanie do drzwi. Słysząc było głośne rozmowy po niemiecku. Pani Gogaczowa myśląc, że to spóźnieni goście, otworzyła. Wpadło chyba sześciu zamaskowanych osobników z pistoletami. Ustawili wszystkich pod ścianą. Było polityczne przemówienie, a potem kolejno łanie i to solidne na goły tyłek, obojętne pan czy pani. Dwie panie zostały ogolone. Ja też dostałem kilka silnych rąków. Ogołocili gości z forsy i różnych złotych precjozów i zakazali wychodzić. Do rana była robota z kompresami. Mnie też tyłek mocno piekł. Jak się dobrze rozwidniło wyszedłem pierwszy, jako czujka i naturalnie zniknąłem. Niedługo po tych imieninach pani Gogaczowa została zastrzelona. Przyznam się szczerze, że w czasie całej akcji „Imieniny” miałem cholernego stracha. Byłem w paszczy lwów. Ulżyło mi kiedy dowiedziałem się, że pani G. jest już na Sądzie Ostatecznym. Koledzy mieli ze mnie ubaw. Po tylu latach przyznają się, że dostałem od swoich.

W swoich wspomnieniach nie poruszałem dotąd tragicznej sprawy żydowskiej. Lublin nie miał klasycznego getta, było ono bezpośrednio na Majdanku. Zebrano tam dziesiątki tysięcy Żydów. Kto tego nie widział nie może sobie wyobrazić co to znaczy Konzentrlager. Jadąc widziałem z daleka poruszające się szkielety, a nad nimi spasionych – bydłaków z SS – litewskiego, ukraińskiego i podobno łotewskiego. Za specjalnym ogrodzeniem był podobóz dla najładniejszych Żydówek. Służyły do wiadomych celów.

W miejscowości Piaski był też międzynarodowy podobóz żydowski i właściciele wszystkich majątków byli zobowiązani przyjmować ich do pracy. To było bardzo dziwne – zabierało się ich bez nadzoru niemieckiego. Właściciel był odpowiedzialny głową za każdego Żyda. Stryj wyznaczył 3 najsilniejszych pracowników, którzy zostali opiekunami takiej grupy. Kogo tam nie było! Mistrzyni gry w brydża z Czechosłowacji, wybitny inżynier. Nawet sekretarka wielkiej kancelarii adwokackiej z Berlina, władająca kilkoma językami – piękna dziewczyna. Siedziała z mymi kuzynami w parku albo w domu i uczyła ich francuskiego. Tacy ludzie (grupa liczyła 25-30 osób) nie nadawali się do pracy w rolnictwie. Zamykało się ich w magazynie i czyścili zboże na młynkach itp. Zdarzały się kontrole SS-manów, ale zawsze było wszystko w porządku, byleby pracowali. Od tej ładnej dziewczyny – Hildy – dostałem prezent. Srebrną karafkę i 6 kieliszków. Ja się odwdzięczyłem produktami żywnościowymi.

Pewnego dnia wpadli SS-mani z Trawnik i zabrali wszystkich Żydów. Odszedłem bo nie mogłem na to patrzeć. Najgorsza była bezsilność. Człowiek patrząc zaciskał zęby a nawet płakał z bezsilności.

Te ciemne, często tragiczne dni rozjaśniały wiadomości z frontów. Niemcy dostawali za to co zgotowali całej Europie. Sam poszedłem zobaczyć pociąg wiozący bohaterów spod Stalingradu. Był to okropny widok, ludzie bez rąk i nóg, cali obandażowani, po prostu kukły. Mimo nienawiści do nich, coś na dnie serca ścisnęło. Z drugiej strony – sami Niemcy zgotowali sobie ten los.

Mimo że Niemcy przegrywali na wszystkich frontach, terror okupacyjny nie ulegał zelżeniu a przeciwnie – wzrastał się. Z byle powodu trafiało się do obozu, z którego przeważnie nie wracało się. Sytuacja żywnościowa też nie była łatwa, kartki na wszystko nawet na buraczaną marmoladę. Ale Po-

lacy dawali sobie jakoś radę. Niemcy, czując nadchodzący koniec, stawali się przekupni, a nawet sami sprzedawali co tylko mogli, nie wykluczając nawet broni.

W Struży co jakiś czas zabierali połowę domu na kwatery dla wojska. Były różne jednostki z różnych frontów. Od podpartyh żołnierzy można było dowiedzieć się więcej niż z nasłuchu radiowego. Opowiadali jak masowo ginęli ich koledzy, przyjaciele, a nawet bracia. Płakali z żalu, że dali się zwieść takiemu bandycie jak Hitler. Były nagminne wypadki, że ostrzegali przed poszczególnymi oficerami. Ale byli i zagorzali hitlerowcy, którzy jeśliby mogli, to zjedliby człowieka. Oficerowie trzeba przyznać byli na poziomie.

Mimo tych wszystkich rozjazdów i zajęć, nie zapomniałem o nauce, chciałem koniecznie ukończyć tę czwartą klasę. Ukończyłem nawet z niezłym wynikiem. Na pewno egzaminy były łagodniejsze, ale trzeba było coś umieć. Na egzaminach było dużo chłopaków, którym dziwnie odstawały marynarki. Oni przychodzili prosto z lasu.

W międzyczasie wuj Henryk ożenił się. Rodzice Janki mieli majątek Dobromierzyc w hrubieszowskim. Zaprosili mnie na kilka dni. Pojechałem, przyjmowali mnie z wielką radością. Janka była bardzo fajną kobietą, wypiliśmy bruderszaft i było OK. Pojechaliśmy na jedną wieś, gdzie był posterunek policji ukraińskiej. Przygnębiający widok, a sami policjanci przypominali rezunów z czasów Chmielnickiego, We wsiach, gdzie było dużo Polaków wystawiane były czujki i łącznicy, którzy dawali znać, czy nie zbliża się jakaś banda UPA. Wuj też wystawiał wokół gospodarstwa coś w rodzaju patroli. Kilka razy w nocy kontrolowaliśmy te posterunki. Czasem było widać dalekie łuny pożarów. Wytrzymałem tydzień i wyjechałem. Doprowadzali mnie do szału ci ludzie. Pospuszczone głowy, ponure spojrzenia, grający na twarzach ironiczny uśmieszek. To coś mówiło, to przerażało.

W drodze powrotnej wpadłem do Babci do Kazimierówki. Radość była wielka, bo po wyjeździe Henryka Babcia została tylko z ciotką, która była główną sanitariuszką Kompanii „Wiklina”. Por. Ryszard też się ucieszył i myślał, że zostanie. Kompania „Wiklina” toczyła boje z Niemcami, czarnymi i Ukraińcami. Szczęście, że rejon Kazimierówki zamieszkiwali Polacy. Odwiedziłem najbliższych kolegów z akcji, powspominaliśmy. Oni opowiadali mi o bojach i o kolegach, którzy polegli, a było ich sporo. Przy okazji odwiedziłem ciotkę, która po śmierci męża musiała opuścić swoje gospodarstwo, bo Ukraińcy grozili spalaniem. Mieszkała w Tyszowcach. Zastałem steraną, wyczerpaną nerwowo kobietę. Proponowałem, aby pojechała do Mamy do Nałęczowa, nie chciała słuchać. Pocieszyłem ją jak mogłem i wyruszyłem w drogę do domu. Jechałem różnymi środkami lokomocji, bo nie miałem przepustki na kolej.

Omawiając sprawę żydowską zapomniałem o bardzo ważnym wydarzeniu, którego byłem naocznym świadkiem. Jedną podróż do Zamościa odbyłem niemieckim samochodem pocztowym. Niemcy brali nie więcej jak 3-4 osoby, przykrywali workami z listami i jechało się. Kosztowało to trochę więcej niż kolej. Wyjechaliśmy z Lublina dość rano. Wszystko przebiegało bez zakłóceń do miasteczka Izbica. Szlaban kolejowy był zamknięty i stali SS-mani. Nasi pocztowcy wyszli, porozmawiali z nimi i wsiedli do samochodu. Wygramoliliśmy się spod worków i dopiero wtedy usłyszeliśmy strzały i to nie pojedyncze a seriami. Nie wyglądało to na bitwę z partyzantami a raczej na strzelanie do stałych celów. Trwało to dość długo. Szosą i polnymi drogami jechały chłopskie wozy, które były przepuszczane do miasteczka. Po godzinie ruszyliśmy. Chłopi na wozach wieźli stopy żydowskich trupów. Makabryczny widok. Do czego może doprowadzić nienawiść rasowa, religijna itp.

W domu czekała na mnie wiadomość od Mamy. Prosiła abym przyjechał i to szybko. Pozbierałem się po tych wjazdach i pojechałem do Nałęczowa. W czasie mojej nieobecności siostra moja wyszła za mąż i szwagier dostał pracę w mleczarstwie. I to spowodowało, że przenoszą się do Ułęża. Cholerna dziura, ale ładna i spokojna. Miało to nastąpić za kilka dni. Postanowiłem odwiedzić kolegów. Akurat szykowałą się mała akcja na Urząd Pracy (Arbeitsamt) – zostałem włączony do wypadu.

Akcja się udała. Pan kierownik urzędu dostał tęgie baty (był Polakiem) i przyrzekł wielką poprawę. Drugim obiektem były dwie kwatery oficerów. Zabraliśmy 2 pistolety, dwie walizy z mundurami, dokumenty, legitymacje. Byli to oficerowie Wehrmachtu. Punkt zborny mieścił się w Miejskiej Łażni, tam grało się w karty, tam zapadały decyzje. Było tam bardzo przyjemnie.

Trzeba pamiętać, że Nałęczów był uzdrowiskiem i w domach zdrojowych roilo się od Niemców zdrowych i ozdrowieńców. Po wyjeździe Mamy mój kontakt z Nałęczowem zakończył się i bardzo tego żałowałem. Byłem dwa dni w tym Ułężu i miałem dosyć. Jedyną osobą godną uwagi był ksiądz, bardzo równy i porządny człowiek.

Wojna naprawdę już się kończyła, to były już ostatnie podrygi faszystowskiej maszyny wojennej. Nie doczekał się Adolfek super cudownej broni. Sowietci stali pod Berlinem, anglo-amerykańskie wojska po przełamaniu silnego oporu podchodziły nad Szprewę. W terenie działała niemal wyłącznie partyzantka. Niemieckie urzędy pomału zwijały swoją działalność, ale Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy nadal funkcjonował. Aresztowania, przesłuchania, bicie, obozy były na porządku dziennym.

Miałem wiadomości, że wuj Henryk z rodziną uciekli nocą z Dobromierzyc. UPA i miejscowi Ukraińcy bardzo podnosili głowy. Przesiedleńcy niemieccy uciekali z Zamojszczyzny czym mogli. Szosą



Chełm – Lublin szły nawet objuczone wielbłądy. Trzema szeregami a nawet polami, dzień i noc, szły kolumny do niedawna „panów świata”. Historia się jednak powtarza. Przed kilkoma laty były takie kolumny, ale Polaków uciekających przed tymi co teraz uciekali.

Wojska sowieckie i polskie są w Chełmie. W Struży zostałem sam, wszyscy wyjechali. Nie chciało mi się objąć po pustym domu, siadłem na bryczkę i pojechałem do Świdnika. Tu zastałem kilku lotników stojących nad wielką mapą. Ciotki były zdziwione moim nagłym przyjazdem. Niemcy byli zainteresowani skąd przyjechałem. Jak im powiedziałem, że Sowietów są w Chełmie, popatrzyli na mapę i w pięć minut Niemców nie było. Na drugi dzień pojechałem do Lublina zobaczyć co w mieszkaniu (zapomniałem powiedzieć, że drugi raz wysiedlono nas – z ul. Rybnej na ul. Lubartowską). Wszystko było w porządku.

Widać było wyraźnie, że Niemcy przygotowują się do obrony miasta, dużo wojska na drogach dojazdowych, zasieki, kozły hiszpańskie, gniazda karabinowe itp. Tego samego dnia wyjechałem do Świdnika i tam pozostałem do wkroczenia wojsk sowieckich i polskich.

Stałem na Krakowskim Przedmieściu przed Hotelem „Wiktoria” i witałem żołnierzy. Jaki był nas trój nie da się opisać, to była euforia narodu. Był to wylew radości po latach okupacji i smutku. Czekala nas jednak jeszcze jedna tragiczna wiadomość. Na Zamku Lubelskim leżą ciepłe trupy więźniów Rozstrzelanych w ostatniej chwili. Już nie będę opisywał widoku Majdanka. Niekoszli „panowie świata” do ostatniej minuty siali śmierć i zniszczenie. Za małą karę dostali.

Takie były losy wówczas bardzo młodego człowieka, który z roku na rok dorósł – może nie latami a przeżyciami, a dzisiaj jest już człowiekiem starym, po siedemdziesiątce. Ojciec mój został zamordowany w Charkowie jako jeńiec obozu Starobielsk. Dalsze losy to już materiał na inną opowieść.